

Wcale nie dostojny cień Isaaca Bashevisa Singera jest naczelnym patronem seansu „Aj waj! czyli historie z cynamonem” Rafała Kmity. Ten – jak czytam w programie – cymesowy musical hipnotycznie bulgocze dowcipem spod znaku pejsa, ale echa słynnego zbioru „Przy szabasowych świecach” Horacego Safrina nie są w bulgocie tym echami szczególnie intensywnymi. Więc co? Kto tu jest intensywny? Szolem Alejchem i legendarny musical „Skrzypek na dachu”, co go na kanwie prozy Alejchema stworzyli panowie Bock, Harnick i Stein?

To by mogło być. I pewnikiem – tak też jest. Śmiało można rzec, iż pierwsze skrzypce inspiracji Kmity to „Skrzypek na dachu”. W końcu „Aj waj!...” jest w istocie jednym potężnym tańcem żydowskim w kilkunastu odsłonach, jednym potężnym śpiewem żydowskim w gardłach pięciorga aktorów: Soni Bohosiewicz; Marcina Kobierskiego, Tadeusza Kwinty, Andrzeja Roga i Wojciecha Leonowicza. Więc? „Aj waj!...” – kruchy krakowski „Skrzypek na dachu”? Niby

Paweł Głowacki

Wszystkie strychnie świata

tak, ale czegoś w tym zestawieniu jednak brakuje.

Jakie jeszcze cienie, resztki czyich opowieści czają się tam – w kurzu scenicznego strychnia Kmity? Kto prócz niewidzialnych zjaw Singera, Safrina i Alejchema wolno dryfuje przez zamarte ciemności, cicho sunie między rzeczami ludzi zapomnianych na amen, zmarłych tak dawno, że nie mamy już dla nich nawet dziecięcej garstki nostalgii? Cień Brunona Schulza, „karła” wiecznie przed światem skulonego, co posiadał alchemię wyluskiwania piórem niebywałych dróg mlecznych – z lichoty codzienności? Dostojny profil opowieści Grigorija Kanowicza, profil fabuł pełnych majestatycznej pamięci i zawstydzającej ufności w sens nieuchronnego? Kto jeszcze? Jakże duchy – klezmerów wielkich i małych, bazarzy fenomenalnych i nędznych, cadyków olśniewających i pożał się Meksjasz – tkwiły w kurzach sceny,

gdy jęknęła kłapa w podłodzi i z dna, z dołu, z naszego świata – na sceniczny strychnie wleźli ludzie z ogarkami w garściach? Pytam o duchy strychowych zmierzchów, bo inaczej seans Kmity łatwo da się skwitować zachwytem nad Kmity maestrią kabaretową. Ale czy tam naprawdę jest dużo więcej? Powtórzę obrazek.

Oto kłapa się otwiera. Na strychnie włączają ludzie naszego świata, który coraz prężniej IDZIE DO PRZODU. Po cholere się tarabania? Bo mają dość bycia modnymi „szczurami” naszego wyścigu? Włączają i z cudownym, prawie Proustowskim lękiem, palcem bądź okiem dotykają rupieci, które tam, na dole, na bieżni naszej, nie mają już szans nawet na dziecięcą garstkę nostalgii. Włączają, mają pokorne baczenie, by kurzu nie płoszyć – i odśpiewują pierwszą frazę zdumiewającej opowieści Kmity. Nuca: „słuchaj rzeczy, słuchaj rzeczy”...

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Tak, rzeczy słuchaj. One snują opowieści wprost z palców ludzi, którzy te rzeczy ongiś pieścili jak skarby największe. Parawan babci, krzesło dziadka, stół stryja. Niemy zegarek, płowiejąca chustka, atrament niknący w pamiętniku kuzynki gruntownie przepadłej. Strzyż uchem w bliskości starych rzeczy na strychnie. One pamiętają. Słuchaj opowieści rzeczy pamiętliwych. Oto początek „Aj waj!...” Gdy kabaret na dzień dobry rzuca taką prośbę – przestaje być kabaretem. Jest intymną sugestią, wobec której błedną dysputy o fachowości reżysera. Zwłaszcza, że fachowość wielka.

Słuchaj opowieści rzeczy pamiętliwych. Tak jak aktorzy, co ze strychowych rupieci wysnuwają swój śpiew i taniec. Są, gdyż pamiętają. Słuchaj, by być. Słuchaj rzeczy, bo nim się rozsypią, wyszeptają którąś ze starych historii ludzkości. Powtórzą to, wokół czego ongiś tańczył człowiek. Delikatnie skalkują

czas dokonany. W powietrzu seansu Kmity palają się cudowne cienie refrenów naprawdę ważnych, smugi odwiecznych zająknięć ludzkości, czkawki ech, których warto nie stracić z ucha. Tak. Kmicie udało się nie spłoszyć tajemnic strychów. Powtórzę więc: Bohosiewicz obezwładnia potęgą swych nieprzeliczonych talentów scenicznych, owszem, w monologach i śpiewaniach swych Róg jest aż tak „do zjedzenia”, że nie sposób nie westchnąć: Róg, wieczny tułacz! I owszem – porównywalnych określić można też użyć wobec reszty aktorów. Sedna jednak to nie zmienia. Po prostu: Kmity przypominał, że na świecie w istocie jest tak – iż nic na nim nowego pod słońcem.

Jeśli kto woli: na świecie są żywi i cienie martwych, o których żywi coraz skromniej, coraz żałośniej pamiętają. I tu przyłazi do mnie bohater powieści. Jest starym felietonistą, co na swe dziewięćdziesiąte uro-

dziny postanowił obstałować sobie pieprzną noc z czterystoletnią dziewczicą. Ale zanim co – starzec daje się wessać nostalgii, myślą wraca do dawnej pogaduchy z naczelnym gazety, wraca do jego słów: Trzeba nadążyć za światem, który IDZIE DO PRZODU!. Przypomina sobie nędzę tego postulatu, ale i własną ripostę. Oto słyszy, jak mówi czyśto, niewzruszenie: Świat idzie do przodu – ale nieustannie kręćąc się wokół Słońca!

Ta genialnie bezradna fraza (jak cały felietonista i jego marzenie o nocy z małą dziewczicą) to dzieło Márqueza. Tytuł dzieła: „Rzecz o moich smutnych kurwach”. I oto mam naczelnego ducha tamtego scenicznego powietrza. Kmity – nostalgik, który pięknie się śmieje – dał lekcję krążenia wokół słońca porzuconych przedmiotów. Rzecz o ciepłych zakurzonych rupieci wszystkich strychów świata.

Teatr Scena STU. „Aj waj! czyli historie z cynamonem”. Scenariusz i reżeria Rafał Kmity. Muzyka Bolesław Rawski. Scenografia Elżbieta Wójtowicz-Gularowska. Choreografia Jarosław Staniek.